

Czesław ZGORZELSKI

ALMA MATER VILNENSIS

... co w atmosferze uczelni było najcenniejsze: prawdziwe zaangażowanie uczuciowe zarówno profesorów jak i młodzieży studenckiej we wszystko, co służyć mogło w drodze społeczności uniwersyteckiej ku gwiazdom, „ku uszlachetnieniu swego człowieczeństwa” ... „Hinc itur ad astra”.

Wilnianie starej daty pamiętają dobrze tę szczególnie wyrazistą atmosferę Wilna z lat przedwojennych. Powołać by się można choćby na przypomnienie Miłosza w liście *Do Tomasa Venclovy*: „odnoszę wrażenie, że miasta mają swojego ducha czy aurę i chwilami, chodząc ulicami Wilna, zdawało mi się, że tę aurę czuję w sposób niemal zmysłowy”¹. Ale scharakteryzować ją w krótkich słowach jest o wiele trudniej. Zwłaszcza że atmosferę tę kształtowały – jak się zdaje – różnorodne czynniki. Społeczeństwo, tak odmienne od innych miast Polski? Tradycja dawnej stolicy Litwy? Czy może pamięć o filomatach i filaretach sprzed wieku? Przeszłość dawnej Akademii jezuickiej, wciąż jeszcze błakająca się wśród arkad i w dziedzińcach uczelni u podnóża wieży świętojańskiej? Urok starych, wąskich i krętych uliczek wiązanych u wylotu łukiem zwieńczenia? Egzotyka żywiołu żydowskiego bijąca z ulicy Niemieckiej i z przylegających do niej zaułków? Piękno architektury czterdziestu przeszło kościołów zaskakujące wędrowców wzniosłością gotyku, dynamiką baroku lub wdziękiem i lekkością rokoka? Ale przede wszystkim chyba – czar położenia topograficznego i naturalność układu miasta skupionego, jakby nawet wspinającego się w kotlinie, w pierścieniu zadrzewionych wzgórz, u zbiegu dwu rzek: Wilii i Wilenki.

Nad darem, jakim dla Wilna stało się samo jego „dziwnie harmonijne” usytuowanie, zastanawiał się już przed półwieczem syn tegoż miasta, Ferdynand Ruszczyc: „ jeżeli od szczegółów tak często rażących, od niedokładności lub naleciałości odejść i przyjrzeć się w myśli Wilnu jakby z odległości, nie sposób nie poddać się urokowi tego dziwnego ustosunkowania jego części powiązanych jakąś łagodnością i dyskrecją, a zarazem tak różnorodnych. Słowem – jego m a l o w n i c z o ś c i.

Jeżeli tak nietrudno w przeciągu kilku godzin przyjezdnemu – nawet obcemu przybyszowi – uchwycić te indywidualne cechy Wilna, tę jego jakby

¹ Czesław Miłosz, *Do Tomasa Venclovy*, w tomie: *Zaczynając od moich ulic*, Paryż 1985, s. 31.

śpiwność w liniach i w kolorycie, to dlatego, że charakterystyczne jego rysy dają się odczuć na niedużej przestrzeni. Miasto, które posiada katedrę-bazylikę w odosobnieniu prawie od banalnego zgiełku ulicznego, wśród zieleni, w pobliżu wijącej się rzeki, na tle wzgórz nietkniętych utylitarnie, [...] miasto, które w swym naturalnym kolejnym rozwoju przemawia żywą, nieszablono-wą siatką arterii ulicznych – miasto takie nie może nie odnaleźć oddźwięku we wrażliwym na ustrój żywego organizmu widzu”².

Znamienne, że podobne spostrzeżenie zupełnie niezależne od obserwacji Ruszczyca, wypowiada pół wieku później Miłosz: „porównując Wilno z innymi miastami, zauważało się jego specyfikę. Psalmista nazywa Jeruzalem miastem «zwartym w sobie» i to w pewnym stopniu stosowałoby się do Wilna, w silnym kontraście do miast zbudowanych na równinie jak Warszawa”³.

Ruszczyc wskazywał palcem „środek” Wilna, jego centrum u stóp trzech wzgórz (Zamkowej, Trzykrzyskiej⁴ i Bekieszowej Góry), a stamtąd już tylko kilkaset metrów do ulicy Zamkowej i do starych murów uniwersytetu, otwartych dziedzińcem ks. Piotra Skargi, a zamkniętych wieżą dawnego obserwatorium Poczobutta, biblioteką i dziedzińcem Sarbiewskiego. Jesteśmy w samym sercu dawnego Wilna, które tętnicami krętych i wąskich uliczek zasilalo życie okalających je dzielnic. Jedna z tych ulic, Wielka, prowadzi obok murów klasztoru Bazylianów z Mickiewiczowską całą Konrada (dziś zamienioną na szkolny gabinet fizyczny!) wprost do sanktuarium Ostrej Bramy. A jeszcze dalej, skręcając na wschód dojść można do cmentarza na Rossie, z sercem Marszałka i z trumną jego matki w wieńcu mogilek żołnierzy POW i AK.

Cmentarze okalały zresztą całe miasto. Stanisław Mackiewicz przypomniał Wilno w jego żałobnym pierścieniu: „Wilno jest objęte uściskiem cmentarzy, które otaczają je kołem. Z Rossy widać Cmentarz Bernardyński [na Zarzeczcu], z Bernardyńskiego – Antokolski, z Antokolskiego – Luterański na Pohulance⁵ i za nim – wielki, Wojenny, na Zakrecie, a z tego – Prawosławny – na Lipówce, a z Lipówki – znów widać Roszę. I dopiero wśród tego śmiertelnego koła, wśród tego koła dostojnych i rozsuniętych drzew cmentarnych i nagrobków leży ściśnione Wilno”⁶.

² Ferdynand Ruszczyca, *Wilno i jego warunki zewnętrzne*, „Alma Mater Vilnensis” 1922, z. 1, s. 47-50.

³ Cz. Miłosz, op. c. s. 34.

⁴ Góra Trzykrzyska stoi dziś osierocona, bez zwieńczenia trzema białymi krzyżami Wiwulskiego, które z rozkazu władz powojennych zostały do cna zniszczone. Ale i ta Góra, i Bekieszowa pojawiają się jeszcze i trwać będą upamiętnione w wierszu Miłosza *Bernardynka*, w tomie *Kroniki*, Paryż 1987, s. 59-60.

⁵ Obecnie – nie istniejący, zamieniony na park miejski.

⁶ Stanisław Mackiewicz + Cat, *Miasto przepięknych cmentarzy*, w tomie: *Kto mnie widział, czego chciał...*, Warszawa 1972, s. 408-409.

Dziś krąg ten uzupełniła wojna i okupacja niemiecka. Na dalekim, zachodnim obrzeżu miasta, w lesie na Ponarach kryje się miejsce straceń hitlerowskich, wielkie zbiorowe doły mogilne z tysiącami wileńskich Żydów; a także groby Polaków, więźniów z Łukiszek, rozstrzeliwanych tu za udział w akcjach konspiracyjnych z wyroku sądów „krzywoprzysiężnych”. A z drugiej, wschodniej strony Wilna, w Kolonii Kolejowej, na wzgórzu obok kościoła wyrósł w lesie cmentarzyk żołnierzy AK poległych w czasie szturm na Wilno w lipcu 1944 r. Píše o nim Tadeusz Konwicky, opowiadając o powojennych odwiedzinach w miejscu, gdzie spędził swe wczesne lata. Kolonia wydała mu się wówczas „nieznośną pustynią, [...] dniem bez słońca i światła”.

„Wstrząsnął mną tylko spory cmentarz na stoku leśnym za kościołem w Górnej Kolonii. Tam, gdzie ślizgaliśmy się zimą na obcasach z podkówkami [...], teraz wśród paproci, krzaków wilczych jagód i sosen oraz świerków, tam w tym słonecznym, wesołym lesie za kościołem wyróżnął się z ziemi, wyłazł z mchu, przebił się z zieleni cmentarz moich kolegów i nieznaných rówieśników z Wilna, Nowej Wilejki, Oszmiany, Lidy, Trok, Wornian i dziesiątków innych miasteczek”⁷.

2

Z dalekich obrzeży miasta wrócmy raz jeszcze do jego centrum, do ożywiającego je „serca” u stóp wieży świętojańskiej.

Uniwersytet Stefana Batorego, wskrzeszony w r. 1919 przez Józefa Piłsudskiego, ówczesnego Naczelnika Państwa, otoczony był szczególnym umiłowaniem wilnian. „Nikt dziś nie wie – pisze w swych *Gawędach o czasach i ludziach* ks. Walerian Meysztowicz⁸ – czym były dla nas mury uniwersyteckie, dawne kolegium jezuickie przy kościele św. Jana. Jakie uczucie budził Uniwersytet Śniadeckich, Mickiewicza i Lelewela, Uniwersytet mego pradziada, na który już ani mój ojciec, ani dziad chodzić nie mogli; z dzieciństwa pamiętałem mroczne korytarze gmachu, w którym mieściła się wówczas «*pierwaja wileńskaja gimnazja*», gdzie mówić po polsku nie było wolno. I oto – zwycięstwo: odnowienie uniwersytetu!” I dalej nieco – raz jeszcze o nim:

„Odrodził się u stóp Zamkowej Góry, w dolinie Wilii i Wilejki, między Górą Trzykrzyską a wzgórzami Ponar stary uniwersytet.

Miłe miasto widzę w snach:
W ciasnej gdzieś ulicy,
Stoi stary, drogi gmach,
Mury mej wszechnicy.”

⁷ Tadeusz Konwicky, *Wschody i zachody księżyca*, „Zapis” 1982, nr 21 s. 56.

⁸ Ks. Walerian Meysztowicz, *Gawędy o czasach i ludziach*, Londyn 1983, s. 223, 236-237.

O stosunku społeczeństwa wileńskiego do odnowionego Uniwersytetu podobnie mówi Antoni Gołubiew w pięknej opowieści o najznacniejszym i najzacniejszym ze swych profesorów, o „panoczku w tużurku”, Stanisławie Kościałkowskim; poprzedza ją charakterystyką nastrojów w owych pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości:

„To było dziwne miasto, Wilno, miasto zbyt długo żyjące marzeniem, imaginacją, tęsknotami, by mogło od razu wejść w świat realny, żyć jak normalne skupisko urbanistyczne – wytwórczością, rzemiosłem przemysłem, handlem, [...]. Żyło się tym wszystkim – oczywiście – ale każdy z tych przejawów życia był sobą, a jednocześnie jeszcze czymś innym, był wcieleniem tęsknoty, patriotyzmem i wzruszeniem, nieraz dochodzącym do egzaltacji. [...] Wszystko budziło dumę i miłość do rodzinnego grodu-miasta. Kulminacją owej dumy-miłości był stosunek do Uniwersytetu. Nie bardzo pamiętano batoriańską akademię jezuitów i rektorat Piotra Skargi [...]. Ale uniwersytet filomatów-filaretów, Adama Mickiewicza [...], Śniadeckich czy Lelewela, obserwatorium astronomiczne Poczobutta, czy ogród botaniczny Jundziłła [...] – ta tradycja Uniwersytetu była ciągle jeszcze żywa. Bóg wie, jakimi drogami Poczobutt i Jundziłł przesiąkali do powszechnej świadomości, ale jakoś przesiąkali [...]. Owo powszechne uznawanie przez wilnian Uniwersytetu za swój, za o s o b i ś c i e własny trudno wytłumaczyć ludziom nie tutejszym [...]. A była to najzwyczajniejsza prawda”⁹.

I na dowód przytacza Gołubiew opowiadanie pierwszego rektora, Michała Siedleckiego, nie-wilnianina, który tak oto wspomina rozmowy, jakie, nie rozpoznawany jeszcze jako profesor, słyszał na ulicach, w sklepach: „Wszyscy byli przejęci tym, że Uniwersytet powstaje na nowo. Lud prosty mówił o tym jakby o jakimś wielkim święcie. Z wrażeń prostych ludzi bił tak głęboki patriotyzm, tak wielkie przywiązanie do Polski i taka miłość do tej instytucji, [...] że tłumaczyć ją sobie mogę tylko wrodzoną u tych ludzi głębią uczucia i wspomnieniami tradycji dawnego Uniwersytetu Wileńskiego, która wcale jeszcze nie zgasła.”¹⁰.

W takiej oto uczuciowej atmosferze powstawał i rozwijał się Uniwersytet Stefana Batorego!

Nie inaczej było wśród grona profesorów. Oto słowa w liście do matki historyka oświaty, monografisty uczelni w Wilnie i w Krzemieńcu, Ludwika Janowskiego, wówczas dziekana Wydziału Humanistycznego: „gdybyś wiedziała jakim szczęśliwy!” – Do ukochanego Wilna wróciłem! – Takie cudowne mam pole do pracy, takiej twórczej pracy! Nadto doznaję tyle od ludzi

⁹ Antoni Gołubiew, *Wychowawca*, w tomie: *Unoszeni historią*, Kraków 1971, s. 282-284.

¹⁰ Cyt. za Gołubiewem, tamże, s. 286.

uznania, sympatii, pomocy – wierzyć się nie chce, żeby tak dobrze być mogło”¹¹.

Jeśli nawet tylko niewielka część grona profesorów odznaczała się podobnie emocjonalną, entuzjastycznie radosną postawą wobec nowej Uczelni, jakże oddziaływać to musiało na skuteczność ich naukowej, a zwłaszcza wychowawczej działalności! A było ich wielu! Wszyscy nawiązywali do tradycji dawnego Uniwersytetu Wileńskiego. Oto jeden z nich, pochyłony już wiekiem, prof. Marian Massonius, w swym słowie do społeczności uniwersyteckiej pt. „*Nova et vetera*” przypomina zasługi poprzedników sprzed stu lat i atmosferę, którą umieli w uczelni swej rozpalić: „Wilno w okresie filareckim stworzyło typ i wzór studenta i – jak mi niemam – w tym konkretnie leży wielkość naszego Uniwersytetu. I w tym kierunku zgodnie, choć nieraz rozbieżnie, pracowali wszyscy: profesorowie i studenci, klasycy i romantycy, „szubrawcy” i filareci. I nie tylko oni, nie tylko sfery właściwie akademickie. Z całą inteligentną i nawet półinteligentną ludnością miasta i kraju był Uniwersytet Wileński zespolony jak żaden inny na świecie.” I w zakończeniu zapytuje: „Czy my, profesorowie i studenci, jesteśmy dziś dalszym ciągiem dawnego Uniwersytetu? [...] Dalszym ciągiem – to nie znaczy: powtórzeniem. Nic się nie powtarza i to, co przeszło, żyje, ale nie wraca. Być dalszym ciągiem – to znaczy: być dla swojej, tak bardzo odmiennej epoki taką samą wartością, jaką oni byli dla swojej”¹².

W Uniwersytecie Stefana Batorego utrwalił się był zwyczaj przemówień rektorskich do studentów z okazji uroczystości inauguracyjnych. Uderza w nich wyjątkowo intensywna troska o stworzenie atmosfery powołania młodzieży ku górze, „*ad astra*”. Nie tylko – w nauce. Chociaż ją przede wszystkim miał na myśli pierwszy rektor uczelni (z lat 1919-1921), cytowany już Michał Siedlecki, gdy przypominał słuchaczom, że „nie ma prawdziwie polskiego badacza, który by nie czuł, że poznać wiedzę to znaczy ukochać ją głęboko”. Pamiętał wszakże o szczególnych obowiązkach nauki na ziemiach wileńsko-nowogródzkich. „Nie jesteśmy w Wilnie osamotnieni – mówił w dalszym ciągu swego wystąpienia – Tuż obok krzewiła się inna kultura, której źródłem Biznacja, kultura wschodu Europy. Ale między duchem polskiej i łacińskiej kultury, a tym samym, czym nas Rosja nakarmić chciała, jest wielka i zasadnicza różnica. [...] Polski duch, a zwłaszcza ten, zrodzony wśród filareckiej młodzieży, mówi: «okaż w życiu kulturę, okaż czynem stopień twego duchowego rozwoju! Dąż ku wyżynom duchem i życiem!»” A w zakończeniu rektor stwierdzał z dumą: „Uniwersytet jest otwarty dla wszystkich, którzy osiągnęli należyte przygotowanie. Znajdą się więc i tacy, co do

¹¹ Cyt. za Walentyną Horoszkiewiczówną, *Promienisty. Prof. Ludwik Janowski*. „Alma Mater Vilmensis” 1922, z. 1 s. 42.

¹² Marian Massonius, *Nova et vetera*, tamże, s. 38.

niego garnąć się będą jak do źródła ducha polskiego, ale być mogą i tacy, którzy ku temu duchowi ślać będą nienawistne spojrzenia, choć od niego brać będą wiedzę. Ale prawdziwa wiedza ma jedną cudowną właściwość. Jeśli jest mocna i potężna, jeśli jej źródło czyste, to ona nęci i każe się kochać. [...] Niech wiedza prawdziwa stanie w Wilnie na najwznioślejszych wyżynach, a jej moc pokona nawet nienawistnie patrzących!”¹³

O szczególnych obowiązkach Uniwersytetu na północno-wschodnich terenach Rzeczypospolitej przypominał także Stanisław Pigoń w rektorskim przemówieniu w 1927 r. *O powołaniu młodzieży akademickiej*: „Nasza *Alma Mater* ogarnąć musi ziemie te swymi promieniami miłociwymi, podać «duchom wszystkim – myśli z nieba» i «do coraz wyższych kół iść przez drugich podnoszenie», a do słuchaczy zwracał się z apelem: „Dzięki Opatrzności stanęliśmy wśród narodów wolnych, swobodnie dopracowujących się do wielkości; stanęliśmy do startu. Musimy się ustawicznie mierzyć z narodami Europy na wytrwałość, na pracowitość, na geniusz wreszcie”¹⁴. W początkowej zaś części przemówienia przypominał swego poprzednika na urzędzie rektorskim, Mariana Zdziechowskiego, który w wystąpieniach uniwersyteckich stale podejmował walkę „za Chrystusa przeciw Antychrystusowi, za spriytualizm przeciw materializmowi, za jasną zacność człowieka przeciwko jego bestializacji”¹⁵.

Rola, jaką w życiu nie tylko Uniwersytetu, ale i całego miasta odegrał Marian Zdziechowski, „prawy obywatel i wychowawca”, głos „sumienia narodowego”¹⁶, wymagałaby dłuższego omówienia. Tu postaramy się w zarysie tylko przypomnieć dążenia i myśli, jakim dał wyraz w swych rektorskich wystąpieniach opublikowanych pt. *Walka o duszę młodzieży*.

Był w tej walce nieustrudzony. W przemówieniu inauguracyjnym w r. 1925 błagał słuchaczy: „mieście litość nad ojczyzną! W poczuciu odpowiedzialności za jej losy, rozmyślając nad tym, co ją toczy i rozkłada, wyrabiajcie myśl krytyczną, pogląd jasny, hart woli i mocne postanowie wydobywania jej ze śmiertelnego grzechu lenistwa duchowego”¹⁷. Główne niebezpieczeństwo dostrzegał w prądach, które szły ze Wschodu; był przekonany, że to one sprawiają, iż „zanika zmysł moralny, zmysł religijny, zmysł estetyczny i wszystko, co duszę człowieka, jej godność i wartość stanowi”¹⁸. Ale jednocześnie wzywał młodzież do szerokiego otwarcia się na obcą odmiennność. Powołując się na Platona, który mówił o wielkiej polityce jako o „królewskiej sztuce wzajem-

¹³ Michał Siedlecki, *Idea przewodnia Uniwersytetu Wileńskiego*, tamże, s. 34.

¹⁴ Stanisław Pigoń, *O powołaniu młodzieży akademickiej. Przemówienie rektora przy otwarciu roku szkolnego 1927/28*, Wilno 1929, s. 16 i 13.

¹⁵ Tamże, s. 7.

¹⁶ Według słów Pigoń, tamże, s. 6.

¹⁷ Marian Zdziechowski, *Walka o duszę młodzieży*, Wilno 1927, s. 11-12.

¹⁸ Tamże, s. 12.

nego przenikania się umysłów”, pouczał, iż jest ona „umiejętnością budowania mostów od mojego „Ja” do każdej innej jaźni, od mojego narodu, od mojej klasy społecznej do innych narodów i klas”.

Toteż, pamiętając o stosunkach narodowościowych na ziemiach Wileńszczyzny i Nowogródzczyzny, wzywał młodzież: „Powinniście postępować tak, aby wyraz Polska nie odpychał, lecz atrakcją był dla wszystkich narodowości w skład państwa wchodzących”¹⁹. A w przemówieniu immatrykulacyjnym 6 II 1926 r. zwracał się także do studentów obcej narodowości: „Nie wątpię, że piękno tradycji, które was owiewa, czują także i ci, co się Polakami nie czują. Niech więc przed majestatem wielkiej przeszłości Uniwersytetu Stefana Batorego zamilknie wszystko, co was dzielić może wyznaniowo, narodowo, rasowo...”²⁰. Kiedy indziej, w mowie na inaugurację r. 1926/1927, przywołuje Zdziechowski słowa Micheleta, który zastanawiając się nad znaczeniem Polski w dziejach kultury europejskiej, „wyraził się, że Żydzi dali światu religię, Grecy – uczucie piękna, Rzymianie – ideę państwa i porządku społecznego, Polska – ideę ojczyzny, pojętej jako służenie sprawie Bożej na ziemi, sprawą zaś Bożą jest harmonia narodów, z których każdy w swoisty sposób treść swego ducha w powszechną *civitem Dei* wnosi”²¹.

Zdziechowski gardził nacjonalizmem rozpętanym do szału nienawiści. „«Szatanowi historii», wszystkim jej ciemnym mocom i destrukcyjnym żywiołom jedno tylko przeciwstawić można: zwycięskie światło, które z głębi świadomości moralnej, z głębi wypływającego z niej uczucia religijnego i religijnego poglądu na świat wytryska”²². W duszy młodzieży starał się ugruntować przeświadczenie o prymacie powinności. „Oczywiście – powiada w tejże mowie – można o powinności i jej absolutnym znaczeniu wątpić, ale jest to wątplenie zbrodnicze. Świadomość zaś powinności to świadomość moralna, to głos [...] sumienia, który z samej natury swojej nierozzerwalnie się wiąże z potrzebą czegoś absolutnego, ponad zmienność i znikomość, ponad modny dziś relatywizm wzniesionego”²³.

Miał rację rektor Opoczyński, gdy na uroczystości 50-lecia pracy pisarskiej Zdziechowskiego zapytywał: „Co w nim specjalnie uczcić: odwagę przekonań i śmiałość wypowiedzenia, czy apostołstwo moralisty i wzniosłość poety?”²⁴ Był nadto prorokiem-katastrofistą. Pesymizm swój wiązał ze spojrzeniem w przyszłość najbliższą. Głos jego współbrzmiał w sposób przejmujący z katastrofizmem ówczesnej młodej poezji wileńskiej Miłosza, Zagórskiego,

¹⁹ Tamże, s. 14.

²⁰ Tamże, s. 16-17.

²¹ Tamże, s. 24.

²² Tamże, s. 22.

²³ Tamże, s. 18.

²⁴ W książce zbiorowej: *50-lecie pracy pisarskiej Mariana Zdziechowskiego*, Wilno 1933, s. 23.

Rymkiewicza i in. Podczas bankietu na cześć Profesora w 50-lecie jego pracy pisarskiej w 1933 r. Zdziechowski tak oto przemawiał do zebranych:

„Widzę to, czego nie widzą ci, co widzieć powinni; widzę potworną konspirację przeciw cywilizacji, przeciw światu, przeciw Bogu i wszystkiemu, co nas ponad proch rzeczy ziemskich podnosi. [...] Wsłuchuję się i słyszę, jak w zawrotnie szybkim, z każdą chwilą szybszym pędzie ludzkość ku końcowi swemu pędzi, drogą znaczoną zdobyczami postępu technicznego, który w oczach naszych staje się postępem zniszczenia i śmierci, odstępstwem zaś od boskich celów i przeznaczeń ludzkości”²⁵.

Jakże się więc dziwić, że wśród słuchaczy zyskiwał nie tylko szacunek, ale i zdumiony posłuch. Władysław Arcimowicz, jeden z wielu uczestników wykładów Profesora w sali V USB, tak oto próbuje uchwycić postawę słuchaczy wobec Wykładowcy, pytając: „Czym on pozyskiwał ich miłość?” – „Właśnie to osamotnienie, ta odwaga cywilna, która mu pozwala ze spokojem mędrca rzec się łączności z prądami współczesnymi [...], to umiłowanie prawdy, która mu pomimo klęsk nie pozwala zobojętnieć na losy świata, ten ton Jeremiaszowy, gdy chodzi o drogi kulturalnego świata, pociąga ku Profesorowi serca dawnych jego uczniów i to nawet tych, którzy krytycyzmu i pesymizmu jego nie podzielają, płynąc z tym lub owym potępionym przez Profesora prądem”²⁶.

Trudno nie zauważyć, iż horyzonty spojrzenia Zdziechowskiego były istotnie zdumiewająco rozległe, a miarą jego wielkości jako myśliciela i pisarza może być intensywność dzisiejszego zainteresowania dziedzictwem jego pióra. Oddziaływanie tak niezwyklej indywidualności na atmosferę społeczeństwa uniwersyteckiego było tym trwalsze, że harmonijnie wiązało się ze sferą wpływów innych profesorów. Wśród nich znalazło się wielu wybitnych uczonych, obdarzonych jednocześnie talentem mądrych wychowawców. Ani wyliczyć tu wszystkich! Dla przykładu więc tylko, a nie dla kompletnego rejestru, choćby tylko kilku z nich, z Wydziału Humanistycznego.

Prócz wspomnianych już Zdziechowskiego i Pigionia – Tadeusz Czeżowski, Henryk Elzenberg czy Bogumił Jasinowski na filozofii; Manfred Kridl i Konrad Górski na polonistyce; Jan Otrębski i Halina Turska na językoznawstwie; Włodzimierz Antoniewicz na archeologii, Cezaria Ehrenkreutz-Jędrzejewiczowa i Maria Znamierowska-Prüfferowa, na etnologii; Jan Oko i Stefan Srebrny na filologii klasycznej; Stanisław Kościałkowski i Henryk Łowmiański na historii, Marian Morełowski, historyk sztuki i wielu, wielu innych. Trzeba też wspomnieć, że we wspólnocie uniwersyteckiej znajdowali się tacy niezapomniani księża-wychowawcy młodzieży akademickiej jak ks. Henryk Hlebowicz lub ks. Walerian Meysztowicz!

²⁵ Tamże, s. 33-34.

²⁶ Władysław Arcimowicz, *Profesor Marian Zdziechowski. Wspomnienie i refleksje ucznia*, „Alma Mater Vilnensis” 1933, z. 11, s. 14.

Ale z tego całego grona świetnych uczonych i wychowawców wyróżnić by należało wilnianina z krwi i kości, profesora historii Polski, dwukrotnie już wymienionego Stanisława Kościałkowskiego. To o nim chodziła wieść, że po każdym egzaminie a przed wystawieniem oceny wypraszał studenta na kilka minut, by pomodlić się cicho o sprawiedliwy stopień egzaminacyjny. A jeśli by chodziło o wpływ na młode środowisko uniwersyteckie, wymienić by go należało tuż obok Zdziechowskiego, chociaż i w postawie wobec studentów, i w metodzie oddziaływania na nich, a także w nieśmiałym uchylaniu się od godności uniwersyteckich, różnił się prof. Kościałkowski od wielkiego Rektora krańcowo.

Skromny, cichy, z dobrocią jaśniejącą w oczach, spokojem swym, pogodą i życzliwością budził w sercach słuchaczy nie tylko powszechną miłość, ale niekiedy także podziw, a zawsze – cześć i szacunek. Mimo iż umiał być wobec nich wysoko – choć dobrotliwie – wymagający. Niezapomniany urok tej postaci wraz z wszystkimi przejawami wielkiego, szczerze wileńskiego serca wiernie odtworzył Antoni Gołubiew we wzruszającym, mimo iż humorem okraszonym, wspomnieniu pt. *Wychowawca*. Do niego też wypada odesłać czytelników: doskonała literacko, prawdziwa w realiach i serdecznie choć żartobliwie napisana opowieść o niezwykłym, a niegłośnym Człowieku. Tu przytoczmy z niej tylko kilka najbardziej znamienych fragmentów.

„Rozmawiałem w Krakowie z pewnym profesorem, który bronił dziwnego poglądu, że wychowanie nie należy do uniwersytetu, należy doń jedynie nauczanie. Stanisław Kościałkowski nie rozróżniał tych pojęć: wychowywał poprzez uczenie, uczył zaś wychowując. Rzecz jasna, obok metody oddziaływała także na studentów wybitna osobowość Profesora, w rzeczywistości jednak metoda i człowiek stanowiły jedność; osobowość Stanisława Kościałkowskiego zbyt mocno była zrośnięta z jego poglądami naukowymi, z jego postawą bezstronnego badacza, z jego umiłowaniem prawdy, by rozdzielanie metodyki i osoby było możliwe. Tym większy jednak wpływ wywierał”²⁷.

Jak to w praktyce wyglądało? Owa miłość prawdy wychodziła na jaw przy ćwiczeniach w krytyce źródeł: „Profesor przeprowadzał pasjonujące, nieraz wręcz detektywistyczne ćwiczenia”; „wszyscyśmy się biedzili, [...] szukali, zestawiali [...]. I oto mamy przykład jedności wychowawczo-dydaktycznej: była to niewątpliwie praca naukowa, znakomite zaprawianie studentów do pracy badawczej, nie padały żadne wielkie słowa, pedagogiczne pouczenia, tym niemniej lub może właśnie dlatego ćwiczenia te były także ćwiczeniami z etyki, z rzetelności, z prawości, były wychowywaniem i kształtowaniem charakteru”²⁸.

Albo – inny przykład: jak udzielał się uczniom „humanizm Profesora, jego stosunek do ludzi?” „Uczył tak trudnej sztuki spoglądania na czasy opi-

²⁷ Antoni Gołubiew, *Unoszeni historią*, s. 275-308.

²⁸ Tamże, s. 294.

sywane ich własnymi oczami, spojrzeniem ludzi tamtych lat [...] z uwzględnieniem umysłowości, kultury motywacji, możliwości historycznych.” Widział w nich „wartość ludzkich istot żyjących, myślących, działających nieraz odmiennie, ale mających prawo do takiego względem siebie stosunku, który jest stosunkiem zrozumienia i tolerancji.” Toteż studia pod kierunkiem prof. Kościałkowskiego „nie stanowiły tylko przysposobienia do zawodu, [...] ale stawały się sprawą życia, angażującą i włączającą nas w historyczne stawanie się. Ten przeciwnik anachronistycznego aktualizowania dziejów w rzeczywistości aktualizował je w inny, głębszy sposób: nie przeinaczając ich i nie fałszując, w postawie zrozumienia i szacunku włączał je we współczesność jako jej najbardziej istotny i wartościowy składnik”²⁹.

Imię takiego nauczyciela i siła oddziaływania jego na młodsze pokolenie trwać mogą dłużej niż pamięć o jego dziełach. Tak też – Kościałkowski. „Aczkolwiek był niemałej miary uczonym i badaczem, autorem znakomitej monografii o Tyzenhauzie, z wieku Oświecenia, jego główne dzieło zostało w ludziach, nie zaś w zadrukowanym papierze. Jego duch żyje w ukształconych przezeń umysłach i charakterach, a chociaż dzieło to anonimowe, nieuchwytnie i pozornie znikome, gdzieś w głębi ciągle działa i będzie działało długo także na tych, którzy nic już o Stanisławie Kościałkowskim nie wiedzą”³⁰. Wszakże to jego wielkiego poprzednika, Joachima Lelewela, cenił Mickiewicz, mówiąc o sobie i o swych kolegach tak, jak mógłby powiedzieć także niejeden z uczniów Kościałkowskiego:

Nieraz myślisz, że zdanie urodziłeś z siebie,
A ono jest wyssane w macierzystym chlebie;
Albo nim nauczyciel poił ucho twoje,
Zawždy część własnej duszy mieszając w napoje...

Ileż tego dziedzictwa Kościałkowskiego odzywa się dziś jeszcze do nas w słowach Gołubiewa, Jasienicy, Leonida Żytkowicza, profesora Uniwersytetu Toruńskiego czy historyka łódzkiego, Bogumiła Zwolskiego i wielu innych uczniów „panoczka w tużurku”; nie tylko historyków, wszak przez egzamin z historii Polski przechodzili także wszyscy studenci polonistyki wileńskiej.

3

Spójrzmy z kolei, jak się rozwijało życie studenckie. Częściowo odzwierciedla je pismo „Alma Mater Vilnensis” (dalej oznaczane skrótem: „AMV”), wydawane raz na rok, czasem rzadziej, przez Zrzeszenie Kół Naukowych. Starannie drukowane, w dużym, albumowym formacie, bogato zdobione reprodukcjami prac studentów Wydziału Sztuk Pięknych i przez nich także eksperymentowane pomysłami nieszablonowych rozwiązań typograficznych –

²⁹ Tamże, s. 296.

³⁰ Tamże, s. 291.

stanowi źródło informacji, co prawda zbyt oficjalne i powagą autorytetów profesorskich (z początku zwłaszcza) nadmiernie „reprezentacyjne”. Ale z niektórych późniejszych zeszytów o pracach i wydarzeniach Uniwersytetu dowiedzieć się można wiele.

Oto na przykład w 3 zeszycie pisma znajdujemy sprawozdanie z „Katolickiego Tygodnia Społecznego” zorganizowanego przez Stowarzyszenie Młodzieży Akademickiej „Odrodzenie”. Program wypełniły jednak wyłącznie odczyty profesorów; tematyka ich wszakże godna jest uwagi: prof. F. Konieczny mówił o „Czynnym charakterze katolicyzmu”, prof. M. Massonius przedstawił „Społeczne ideały katolicyzmu”, ks. prof. A. Wójcik rozważał „Zagadnienie pracy w Polsce”, a prof. F. Bossowski sięgnął do podstaw kultury, omawiając „Chryścianizm jako czynnik twórczy w rozwoju prawa rzymskiego”. I jedynie końcowy akcent „Tygodnia”, studenckie wystąpienie Orlikowskiego „Młodzież akademicka w świetle współczesnych prądów ideowych”, ukazało w pewnej mierze oblicze studenckiej rzeszy z lat 1921-1925. Ujawniło mianowicie pełną świadomość różnic, jakie dzieliły już wówczas nacjonalistyczne dążenia „Młodzieży Wszechpolskiej”, organizacji pozostającej pod wpływami Stronnictwa Narodowego, od stowarzyszenia „Odrodzenie”, dla którego głównym „kryterium etyczności” w sprawach narodowych stanowiły zasady katolicyzmu. „Upadek moralny czasu wojny – jak informuje sprawozdanie – i szukanie trwałych podstaw etycznych w nauce depozytariusza prawdy Chrystusowej skierowuje też wielu do żywszego wyznawania katolicyzmu”³¹. Później, w miarę wzmagania się wśród młodzieży tendencji antysemickich, różnice te zarysowywały się jeszcze ostrzej, doprowadzając „Odrodzenie” do sojuszu z lewicowymi ugrupowaniami studentów jak np. ze „Związkiem Młodzieży Demokratycznej” w rywalizacji o przewodnictwo w ogólnoakademickiej „Bratniej Pomocy”.

Nastroje antysemickie zaznaczyły się także w obradach II Ogólnego Zjazdu Polskiej Młodzieży Akademickiej w lutym 1925 r., który podobnie jak i I Zjazd odbywał się w Wilnie. Uchwalono na nim postulat wprowadzenia przy przyjmowaniu na studia w stosunku do studentów pochodzenia żydowskiego zasady „*numerus clausus*”. Warto z satysfakcją podkreślić, że nastroje te nie zyskały przychylniej oceny sprawozdawcy z Wilna, który oględnie ale niedwuznacznie odciął się od tej atmosfery, zaznaczając z dezaprobatą „pewne tarcia” pomiędzy grupami oraz „specyficzne piętno, jakie nadawała Zjazdowi supremacja jednego z obozów ideowo-politycznych”³². Widocznie wśród delegatów nie było jednomyślności a uchwały dyskryminacyjne nie przechodziły bez protestów. Inne, bardziej humanistyczne, stanowisko zajął Zjazd wobec kolegów Białorusinów i Ukraińców; uchwalono nawet postulat

³¹ Orlikowski, *Młodzież akademicka w świetle współczesnych prądów ideowych*, „Alma Mater Vilnensis” 1925 z. 3 s. 71.

³² Orlikowski, tamże, s. 77.

nawiązania żywszego kontaktu ze studentami obu mniejszości narodowych.

„Alma Mater Vilnensis” miała także ambicje prezentowania studenckich prac badawczych, a także osiągnięć literackich i artystycznych. Jasne, że były to wystąpienia godne uwagi tylko niektórych, wyróżniających się adeptów nauki i sztuki; nie zawsze też już wtedy określały one przyszłą drogę debiutantów; niektóre nazwiska, takie np. jak Jerzy Orda, Zygmunt Falkowski, ks. Józef Zawadzki, Maria Dunajówna, Władysław Arcimowicz, Antoni Szantyr czy Witold Nowodworski, dobrze jednak świadczą o ówczesnych osiągnięciach wychowanków USB. Wiele splendoru wnoszą do tego zestawienia przyszli „żagaryści” z Miłozem, Bujnickim i Jerzym Zagórskim na czele.

Sporo wiadomości o życiu organizacji studenckich przynosi „AMV” w „Kronice” zamieszczanej na końcu tomów. Sprawozdania dotyczą przede wszystkim kół nukowych, regionalnych (Mińszczan, Kownian, Suwalczan, Grodnian, Białostoczan, a nawet Radomiaków i Łodzian...), religijno-wychowawczych (Sodalicje Mariańskie, „Juventus Christiana”, „Odrodzenie”), a także ugrupowań ideowych o zabarwieniu politycznym („Młodzież Wszechpolska”, „Związek Młodzieży Demokratycznej”, a w pewnym okresie nawet „Organizacja Młodzieży Monarchistycznej”).

Jednak o indywidualnym obliczu życia studenckiego w Wilnie, w odróżnieniu od innych środowisk uniwersyteckich, świadczą raczej różnego rodzaju ugrupowania i przedsięwzięcia wykraczające nieraz poza mury uczelni, na ulice miasta. Nie troszczmy się o pełny ich wykaz: zwróćmy uwagę na najbardziej oryginalne, swoiście wileńskie, barwne zjawiska, takie jak np. „Klub Włóczągów”. Wyrósł on bodaj jako reakcja na burszowski styl życia koleżeńskiego utrwalony wówczas w tzw. korporacjach akademickich. Nie barwne dekle i szpady, ale czarne berety z kolorowymi pomponikami i wysokie laski pielgrzymie stanowiły reprezentacyjny strój włóczągowski. Wolne chwile spędzali nie przy kuflach z piwem w czasie zadymionych „komerszów”, lecz na wspólnych wycieczkach, pieszo lub kajakami, w bliższe i dalsze okolice Wilna, urozmaicając je żartami, piosenką lub wierszami własnej produkcji.

W dowcipnej autoprezentacji zamieszczonej w 3 zeszyte „AMV” Klub tak się przedstawiał społeczności studenckiej: „Dziecko idei przyjaźni i koleżeństwa. Spadkobierca dążeń i metod «Szubrawców Wileńskich» (powiedzielibyśmy raczej – filomatów i filaretów). Wyraz życia duchowego młodzieży uniwersyteckiej poza murami Wszechnicy. Jedno z wielu kół i kółeczek bezregulaminowych, bezstatutowych i... bezprezesowych. Statut wyraźny! Cel jeszcze jaśniejszy! Satyryczno-humorystyczna krytyka życia młodzieży i jej ... bezżycia”³³.

W rzeczywistości – prócz wypraw „włóczągowskich” – Klub odznaczał się udziałem w różnych satyryczno-żartobliwych przedsięwzięciach studenckich

³³ „Alma Mater Vilnensis” 1925 7 3 s. 106.

i umiejętnie wiązał grono swych uczestników niemi przyjaźni i dobrej zabawy. Wzorem „Towarzystwa Szubrawców” sprzed wieku „włóczędzy” nadawali sobie wzajem przydomki koleżeńskie. Wodził ich medyk Wacław Korabiewicz, ze względu na wzrost „Kilometrem” zwany; zaprowadził raz – pono kajakiem – szczuplutek gromadkę towarzyszy aż do Stambułu, co później opisał w 9 zeszycie „AMV”. Było to towarzystwo wyłącznie męskie, i w poglądach oraz postawie życiowej – wielce zróżnicowane. Chadzał z nimi i Antoni Bohdziewicz, późniejszy as naszych filmowców, i Stefan Jędrychowski, po wojnie – wysoki dygnitarz PRL, wówczas zwany „Robespierrem” i Dorek Bujnicki, poeta z urodzenia, przydomkiem „Amorka” zaszczycony, gdyż – według świadectwa Miłosza – miał wygląd tego „figlarnego bożka”³⁴, i Leszek Beynar, późniejszy Jasienica, i Henio Chmielewski, „Fu-Czu”, bo tak, nieco z chińska, ukształcone miał rysy, wówczas jeszcze sekretarz Akcji Katolickiej, po wojnie odmieniony pono całkowicie jako wysoki dyrektor czy kierownik w jednym z Urzędów... Chadzał też z nimi Czesław Miłosz, tylekroć później przywołujący towarzyszy „włóczędów” na karty swych poetyckich i wspomnieniowych tomów.

Żartobliwie satyryczna postawa „włóczędów” przyprowadziła kilku piszących spośród nich: Bujnickiego, Jędrychowskiego, Zagórskiego, Miłosza, a bodajże i Putramenta, do „Szopki akademickiej”. Tworzyli ją wespół ze studentami Wydziału Sztuk Pięknych zrzeszonych w Cechu św. Łukasza. Teksty – satyrycznie żartobliwe – bywały różne, mniej lub bardziej dowcipne, najczęściej śpiewane na nutę znanych piosenek. Nawiązywały do aktualnych wydarzeń i popularnych postaci życia uniwersyteckiego, ale żartami ogarniały nie tylko wybitniejsze postaci ze środowiska studenckiego, lecz także ze świata profesorskiego, niekiedy sięgały również do osobistości miasta a nawet rządu w Warszawie. Szczególną wesołość wywoływały wszakże, gdy pod niewiele zmienionymi nazwiskami wprowadzały na scenę laleczki profesorów i władz dziekańskich lub rektorskich, utrafiłone z przejaskrawieniami karykatury nieraz tak znakomicie a jednocześnie żartobliwie, że witano je wybuchem gromadnego śmiechu.

Najbardziej chyba udane i lalki, i teksty utrwalono z X-ej, jubileuszowej Szopki z r. 1931 w dziesiątym zeszycie „AMV”³⁵. Szopka miała duże powodzenie; przedstawienia odbywały się w tzw. „Ognisku” Bratniej Pomocy przy ul. Wielkiej i skupiały nie tylko młodzież studencką, ale także profesorów i widzów z miasta.

Tłumne były także widowiska uliczne organizowane od czasu do czasu przez społeczność uniwersytecką dla całego Wilna. Zachowały się relacje

³⁴ Czesław Miłosz, *Teodor Bujnicki* w tomie: *Zaczynając od moich ulic*, s. 163.

³⁵ Niektóre fragmenty oraz podobizny lalek publikowano w piśmie: „Alma Mater Vilnensis” 1933, z. 11, s. 105 (świetna podobizna Mac-Cacata=Cata-Mackiewicz!); zob. także z. 10, s. 81-84; sporą garść tekstów z X Szopki przedrukował także z „Kuriera Wileńskiego” Stanisław Lorentz w książce *Album wileński*, Warszawa 1986, s. 108-122.

o kilku takich imprezach. Przeważnie nawiązywały one do starych podań i legend wileńskich, m.in. do opowieści o smoku, który zamieszkał był wśród ciasnych i krętych uliczek na Baszcie. Nazywano go także „bazyliszkiem o zabójczej sile spojrzenia”. Jedno z tych widowisk odbyło się na wiosnę 1926 r. w dzień św. Jerzego. Zwycięstwa dokonał Nieznany Rycerz nadjeżdżający z tarczą lustrzaną od strony Ostrej Bramy na placyku przy wylocie ul. Bakszta. A potem rozradowany tłum powłókł zabitego smoka przez plac katedralny przed kościół św. Jerzego, gdzie patron rycerzy przemówił uroczyście do zwycięzcy: „Rycerzu Nieznany, zwyciężyłeś, boś czysty i mężny. W każdym z was tu obecnych, Wilnianie, jest ukryty taki rycerz – wyzwólcie go: niech każdy zabije swego smoka!” Poczem tłum w asyście konnych rycerzy zawłókł bazyliszka nad Wilię przy Moście Zielonym i tam go utopiono³⁶.

Częste bywały także kontakty młodzieży studenckiej oraz profesorów z teatrem wileńskim. Niezapomniane wrażenie pozostawiło po sobie m.in. „Redutowe” przedstawienie *Księcia Niezłomnego* Calderona-Słowackiego na dziedzińcu Pałacu Rzeczypospolitej, odegrane późnym wieczorem z udziałem konnych rycerzy z pochodniami. Inne, wcześniejsze przedstawienie tegoż dramatu (w r. 1926) odegrane zostało na arkadowym dziedzińcu ks. Piotra Skargi. „Wspaniałe tło kościoła św. Jana – według sprawozdania prof. Srebrnego – dawało ton zasadniczy. Ku niemu zwracały się osoby działające, gdy mowa była o Bogu, wierze, Kościele [...]. W dusze zgromadzonych [...] przesączała się głęboka prawda teatru wydobywająca się wreszcie na światło spod stosu rupieci naturalistycznego nieporozumienia. Niebo gwiaździste i blask pochodni dopełniały podniosłego nastroju”³⁷.

4

Zestawienie niektórych tylko szczegółów życia uniwersyteckiego zebrane w skąpym wyborze zjawisk, jakie z wielu innych utrwaliły świadectwa drukowane, nie ukazuje w sposób dostatecznie wyrazisty, jakie prądy myślowe nurtowały wówczas środowisko akademickie. Wśród studentów – a i w gronie profesorów, choć w znacznie mniejszym stopniu – przeważały sympatie endeckie. Wzrosły zwłaszcza w ostatnim dziesięcioleciu przed wojną. Antysemickie ekscesy tzw. „pałkarzy” rzucały hańbiący cień na atmosferę współżycia koleżeńskiego. Tak było bodaj we wszystkich środowiskach uniwersyteckich. Jeśli w Wilnie było inaczej, to przede wszystkim dzięki zdecydowanej i odważnej postawie wielu profesorów i myślącej elity młodzieży. Na Wydziale Humanistycznym „walka o getto ławkowe” poniosła właściwie klęskę. Nie było go ani na zajęciach z filozofii prof. Czeżowskiego i Elzenberga, ani na wykładach polonistycznych czy historycznych.

Jednocześnie wzmożły się i znacznie zradycalizowały tendencje lewicowe, scementowała się wewnętrznie grupka młodzieży komunizującej pod

³⁶ Na podstawie relacji w piśmie „Alma Mater Vilnensis”. z. 4, s. 37-38.

³⁷ *Źródła Mocy*, Wilno 1927, z. 1.

wodzą Jędrychowskiego, co wkrótce doprowadziło do tzw. procesu Dembińskiego i towarzyszy. Powstawać zaczęły pisma literacko-społeczne: „Żagary”, „Razem”, „Poprostu” i in., coraz wyraźniej nawołujące do przejmowania wzorów ze Wschodu.

W tych warunkach w r. 1933 powstało na Uniwersytecie „Porozumienie Akademickich Katolickich Stowarzyszeń” (PAKS); weszły do niego – prócz „Odrodzenia” – obie Sodalicje Mariańskie oraz „Juventus Christiana”. Pod skrzydłami „Porozumienia” rozwinęło się pismo „PAX”. Redakcja pracująca w pierw pod kierunkiem Leokadii Małunowiczówny, później (od 1935 r.) – Antoniego Gołubiewa, a od r. 1937 – Stanisława Stommy, ogłosiła w nrze 1 z 1934 r. „Manifest”, z którego wynikało, iż pismo „ma służyć budowie kultury chrześcijańskiej i walczyć z prądami kulturze tej wrogimi”. Wśród czołowych publicystów pisma – prócz obu wymienionych redaktorów – znalazł się także Józef Święcicki, redaktor „Kuriera Wileńskiego”, po wojnie zmarły w lagrze radzieckim na Syberii. Wszyscy trzej przeszli uprzednio przez formację „Odrodzenia”. Do grona najbliższych współpracowników należeli m.in. Witold Rudziński, znany dziś kompozytor i muzykolog; Irena Sławińska, Władysław Arcimowicz, Antoni Bohdziewicz, Witold Nowodworski, Janina Budkowska i wielu innych. Z daleka patronowali temu gronu ks. Walerian Meysztowicz i ks. Henryk Hlebowicz. Z artykułem *O chrześcijańskiej kulturze jutra* wystąpił tu również Jerzy Turowicz.

Pismo podejmowało różne zagadnienia, nie omijało ani ogólnych spraw ekonomicznych, ani nabrzmiałych wówczas utrapień społecznych, jak np. bezrobocie. O zakresie zainteresowań jak też o próbach uformowania własnego stanowiska świadczyć mogą choćby tytuły publikacji: *Katolicyzm a sprawiedliwość społeczna*, *Wartości społeczne katolicyzmu*, *Katolicyzm a polityka*, *Między Wschodem a Zachodem* i in. Sytuując się między nacjonalizmem „Młodzieży Wszechpolskiej” a poczynaniami grup komunizujących, środowisko „PAX”-u próbowało skonkretyzować własną pozycję w artykułach z r. 1936: Stommy *Z Polski chcę zrobić Mongolię* (nr 7-8) i Gołubiewa *Co nas dzieli od ONR-u?* (nr 10). Pismo nie uchylało się także od polemiki z antysemityzmem, ani z propozycjami E. Skińskiego w „Pionie” na temat wychowania państwowego (1935, nr 3), ani z wystąpieniami Cata-Mackiewicza w „Słowie” przeciw Dembińskiemu i jego grupie.

Proces lewicowej grupy studentów postawił redakcję w dramatycznej sytuacji. Dembiński był przecież przyjacielem wielu z grupy „Odrodzenia”, człowiekiem, którego ostra, emocjonalna reakcja przeciw niesprawiedliwości ówczesnych stosunków społecznych w świecie bliska była „odrodzeniowcom” z redakcji „PAX”-u. Niełatwo przychodziło wyjaśniać własną postawę w sposób równie uczciwy, co i niedwuznaczny, a lojalny w stosunku do obu stron ścierających się w procesie. Próbował to uczynić Gołubiew w artykule *Po procesie wileńskim*; rozpoczął od ukazania sytuacji, w której budzić się zaczęły fermenty w postawie młodzieży: „Na porządek gospodarczy i społeczny

świata może się dziś godzić tylko garstka wyzyskiwaczy o zatwardziałym sumieniu i ci, co w ogóle tych zagadnień nie są w stanie dostrzec. [...] Mijać je mogą tylko ludzie marni i egotyczni”. A w zakończeniu ukazuje Gołubiew szersze tło sytuacji: „Przed sądem w procesie wileńskim stała nie tylko grupa młodych komunistów. Stało całe trudne i skomplikowane zagadnienie. Stał wieloletni proces historyczny”³⁸.

Sprawa powróciła raz jeszcze w 1938 (nr 1, 2), gdy w wyniku apelacji sąd uniewinnił Dembińskiego z zarzutu należenia do partii komunistycznej, utrzymując jednak oskarżenie o działalność zmierzającą do przewrotu politycznego. Redakcja wiadomość tę zaopatrzyła uwagą: „Do Dembińskiego skazanego za prowadzenie walki politycznej z systemem panującym mamy szacunek. Dla nas – z punktu widzenia moralnego – wyrok obecny jest równoznaczny z uniewinnieniem” (1938, nr 1). To ostatnie zdanie spowodowało – oczywiście – konfiskatę numeru. Już tylko dla wyjaśnienia sprawy redakcja raz jeszcze powróciła do procesu, oświadczając wyraźnie: „Drogi nasze z Dembińskim rozeszły się. Ostateczny rozłam [w „Odrodzeniu”] nastąpił w 1932 r. Walczyliśmy z nim na łamach „PAX”-u. I jako przykład podano wspomniany już artykuł Stommy w nrze 7-8 z r. 1936.

5

Jakże zakończyć to wrywkowe i nader pobieżne spojrzenie na niektóre tylko przejawy życia Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie? W trosce o zobiektywizowanie i należyte udokumentowanie szkicu ograniczono go do zestawienia wybranych szczegółów. Chyba – niestety. W mozaice wyodrębnionych zjawisk zagubiło się to, co w atmosferze uczelni było najcenniejsze: prawdziwe zaangażowanie uczuciowe zarówno profesorów jak i młodzieży studenckiej we wszystko, co służyć mogło w drodze społeczności uniwersyteckiej – ku gwiazdom, „*ku uszlachetnieniu swego człowieczeństwa*”, jak to określał w mowie rektorskiej ks. Czesław Falkowski, przypominając napis na Obserwatorium Astronomicznym Poczobutta: „*Hinc itur ad astra*”. „Albowiem nie sama tylko nauka stanowi o prawdziwej, trwałej wartości człowieka. Nauka ma prowadzić młodzież i jej kierowników wzwyż, [...] ma kształtować ową umiejętność patrzenia i zdolność do pójścia *ad astra*”³⁹.

I powoływał się Ksiądz Rektor, w dalszej części swego wystąpienia, na słowa Jana Śniadeckiego: „nauka tyle tylko jest zaletą człowieka, o ile ten umie pokazać jej wartość i korzyść w postępach, a przez postęпки wyrazić i utrzymać dostojność natury ludzkiej. Nie masz śmieszniejszego stworzenia jak człowiek uczony w mowie i piśmie a niedorzeczny w postępach.” I dodając do tego jeszcze jedno stwierdzenie Śniadeckiego, przestrzegał: „Nauka bez obyczajów jest hańbą człowieka, a klęską dla społeczności”.

³⁸ „PAX” 1936 nr 1-2.

³⁹ Ks. prof. Czesław Falkowski, *Hinc itur ad astra. Z przemówienia inauguracyjnego dn. 11 października 1928 roku.* „Alma Mater Vilnensis” 1928, z. 7, s. 5.

W przywoływaniu tych słów ujawnia się druga szczególna właściwość atmosfery, w której rósł i rozwijał się Uniwersytet Stefana Batorego: świadomość zobowiązującej tradycji sprzed lat i szczerze przywiązanie do niej. Nie tylko Śniadecki i nie tylko Czartoryski stawali w pamięci Księdza Rektora, gdy wygłaszał tę mowę; przywoływał w niej także Mickiewicza. Do filomatów i filaretów nawiązywała również młodzież w swych poczynaniach. Satyrycy z „Klubu Włóczęgów” pamiętali nawet o „Towarzystwie Szubrawców”.

Służyło to także utrwalaniu się poczucia wspólnoty uniwersyteckiej, nie tylko wewnątrzgrupowej, ale też – szerszej, społecznej więzi z miastem, z regionem wileńsko-nowogródzkim; „*genius loci*” przenikał myśl większości przedsięwzięć uniwersyteckich. Z całego otoczenia, z Ostrej Bramy, z Katedry i ze szczątków królewskich w niej złożonych, z Baszty Zamkowej i Trzech Krzyży Wiwulskiego, z renesansowej kaplicy św. Kazimierza szły niewidoczne promienie przenikające wszystko, co się w tym dziwnym mieście, u zbiegu dwu rzek, dokonywało.

Dwadzieścia lat tylko! Jakże krótko! Na dalekiej prowincji, w odciętym od centrum Rzeczypospolitej, północno-wschodnim „półwyspie” – a ileż nazwisk, choćby tylko w tym szkicu tytułem przykładów przywołanych, wyznacza drogi myślom i działaniom naszym w czasie okupacji i po wojnie! Myślom i działaniom *z n a c z ą c y m* w rozwoju kultury polskiej. Choćby – „Tygodnik Powszechny”, częściowo wyrosły jakby z ziarna rzuconego w „walce o chrześcijańską kulturę jutra” w „PAX”-ie redagowanym przez Gołubiewa i Stomę. Choćby w wileńskiej gromadce pracowników naukowych Torunia, Gdańska czy Lublina w pierwszych latach powojennych. Choćby w dziełach, które wyrosły z trudu profesorów i wychowanków Matki-Żywicielki wileńskiej. Ani wyliczyć tu wszystkich! Niechże wystarczy – na zakończenie, fragment z przemówienia najslynniejszego z wychowanków Uczelni Batorowej, Miłosza, z przemówienia w Sztokholmie przy wręczaniu mu nagrody Nobla: „Jest błogosławieństwem, jeżeli ktoś otrzymał od losu takie miasto studiów szkolnych i uniwersyteckich, jakim było Wilno, miasto dziwaczne, barokowej i włoskiej architektury przeniesionej w północne lasy, i historii utrwalonej w każdym kamieniu, miasto czterdziestu katolickich kościołów, ale i licznych synagog; w owych czasach Żydzi nazywali je Jerozolimą północy. Dopiero też wykładając w Ameryce zrozumiałem, jak wiele przeniknęło we mnie z grubych murów starego Uniwersytetu, z zapamiętanych formuł prawa rzymskiego, z historii i literatury dawnej Polski, które dziwią młodych Amerykanów swoimi szczególnymi cechami: pobłażliwą anarchią, rozbijającym zaciekle spory humorem, zmysłem organicznej wspólnoty, nieufnością wobec wszelkiej władzy scentralizowanej”⁴⁰.

⁴⁰ Czesław Miłosz, *Zaczynając od moich ulic*, op.c., s. 351-352.